N^er^ 19. Ćwierćrocze od 1^go^ Kwietnia do 1^go^ Lipca. 1863.

Prenumerata wynosi:

w księgarniach Krakowskich

Bez mód:

Rocznie	6 zł.	—	c. w. a.
Półrocznie	3 »	—	» » »
Kwartalnie	1 »	50	» » »
Miesięcznie	— »	50	» » »

Z Modami paryskiemi.

Rocznie	10 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie	5 »	10	» » »
Kwartalnie	2 »	55	» » »
Miesięcznie	— »	85	» » »

ROK III.

NIEWIASTA.

zamiejscowa wraz z opłatą pocztową

Bez mód:

Rocznie	7 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie	3 »	60	» » »
Kwartalnie	1 »	80	» » »

Z modami paryskiemi:

Rocznie	11 zł.	40	c. w. a.
Półrocznie	5 »	70	» » »
Kwartalnie	2 »	85	» » »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 cent. w. a. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 30 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmują wszystkie księgarnie.

JĘZYK OJCZYSTY.

Nie od dzisiaj wiemy, że język narodowy jest jedną z najważniejszych, z najświętszych puścizn po przodkach.

Różne on przechodził koleje — a przecież po tę chwilę jest klejnotem osobliwym nietylko dla nas Polaków, lecz zarazem dla wszystkich, którzy go ocenić należycie i sumiennie umieją.

Urósł nasz ojczysty język z dwóch narzeczy, mianowicie: z mazowieckiego i ruskiego.

Najpierwsi znakomici jego uprawiacze, Mikołaj Rej i Stanisław Orzechowski, porodzili się na Rusi i nadali mu pewną wdzięczność i giętkość, o które z nim ledwie włoski język spieraćby się ośmielił i to bez pewnej nadziei zwycięztwa.

Po Reju i Orzechowskim uprawiali język nasz ojczysty bardzo szczęśliwie Łukasz Górnicki, i X. Piotr Skarga prozą, Jan i Piotr Kochanowscy wierszem. Ich talenta i nauka dokazały, czego tylko w tym zawodzie dokazać można było.

Później szczęśliwie uprawiali język polski poeci: Klonowicz, Szymonowicz i t. d.

Druga połowa XVIIgo wieku zupełnie nie sprzyjała naszemu językowi a to pod tym względem, że wprowadzono w niego co niemiara słów łacińskich — uczyniono go makaronicznym, co już Jan Kochanowski przeczuwając... wyszydził swoim makaronicznym wierszem . . . .

Szkodliwym był makaronizm językowi; lecz nie tyle, co później... (nawet w samym czasie odrodzenia się literatury ojczystej: za Adama Naruszewicza i Ignacego Krasickiego) w pismach wielu autorów obce zwroty (francuskie mianowicie), czyniące niesłychany gwałt słowiańskiemu organizmowi naszego języka.

Cóż powiemy o dzisiejszych gwałtach, jakich się niektórzy na polskim języku dopuszczają? Zamilczmy o nich w niniejszym artykuliku; lecz dodajmy, że jeżeli na kim, to na zacnych Paniach naszych ciąży obowiązek dbania o jedne z najdroższych naszych puścizn po drogich przodkach, obowiązek dbania o czystość języka ojczystego, którego ani galizować, ani giermanizować, ani, że się tak wyrazimy, w jakikolwiek bądź sposób unielogiczniać nie godzi się, gdyż cała jego natura pragnie być czysto-rodzimą i ściśle logiczną.

SIOSTRZENICE MAZARINIEGO.

(Wspomnienie historyczne.—Zob. N. 17.)

4

(Ciąg dalszy.)

Za życia kardynała, mogła się hrabina Soisson dopuszczać bezkarnie niektórych małych zdrożności, któreby w dzisiejszych dniach zasłużyły na nieco ostrzejsze nazwisko. Ale po śmierci kardynała, w którym straciła tak silnego protektora, hrabina Soisson przecież nie przestawała mieszać się w miłostki króla, zaczem potrafił minister Louvois wkrótce pozbyć się hrabiny. Stało się to w czasie, w którym sławna trucicielka Voisin swego wynalazku „sławny proszek sukcesyjny“ sprzedawała ludziom, mającym ochotę spiesznicj odziedziczyć majątki po swoich krewnych, aniželi na to bieg natury dozwala. Aby osiągnąć ten rezultat, potrzeba było tylko jednej lub dwóch szczypt tego proszku, którego gran kosztował dukata.. Między osobami wyższego świata, odwiedzającemi panią Voisin, znajdujemy także hrabinę Soisson i marszałkową La Ferté — w jakim zamiarze odwiedzały te panie sławną wróżkę, nie jest wiadomem; lecz nieprzyjaciele Olimpii roznieśli wieść, że tu szło o spisek na życie króla. Było zwyczajem, że w takich razach robiono bardzo krótki proces — to też siostrzenica Mazariniego, opuściwszy potajemnie swój pałac, uciekła za granicę.

Od tego czasu prowadziła Olimpia przez wiele lat nadzwyczaj tułackie życie. Z każdego miasta, w którem szukała przytułku, została wygnaną — i nagabywana

przez gawiedź uliczną, płaconą w tym celu przez posłów francuskich. Gdy się zbliżała do jakiej twierdzy, natychmiast bramy zamykano. Gdy weszła do świątyni, rozżarty lud groził, że zakamienuje trucicielkę. Gdy znalazła przytułek w klasztorze, to cnotliwi obywatele śpiewali pod jej oknami zdrożne piosenki. Wprawdzie nie było najmniejszego dowodu, aby Olimpia miała zamiar otrucia kogokolwiek, ale jeżeli kto rzeczywiście w to nie wierzył, to stracił zupełnie wątpliwość, gdy się dowiedział, że hrabina Soisson przybywszy do Madrytu... natychmiast, po nagłej śmierci młodej królowej, żony Karola IIgo Hiszpańskiego, a wnuki Karola Igo Angielskiego, z tego miasta uciekła. Osiadła nareszcie hrabina w Brukselli, gdzie życie zakończyła na początku zeszłego wieku.

Francuski dwór nigdy jej nie przebaczył; lecz ona umarła z przekonaniem, że się na nim zemściła. Między ośmiorgiem dzieci, które zostawiła w Paryżu, był także mały, słabowity, łagodny chłopaczek, nazwany później Abbé'm Sabaudzkim. Młodego Abbé'go obdarzono znacznemi beneficyami; lecz on nie lubił duchownego stanu i prosił o pozwolenie zamienienia wszystkich swoich funduszów na pułk dragonów. Louvois odpalił tę prośbę a śmiał się z małego Abbé'go. Wielki monarcha śmiał się jeszcze serdeczniej, gdy mu doniesiono, że mały Abbé przyjął służbę u niemieckiego cesarza.

— „Czyż nie czujecie panowie“—mówił do swoich dworaków— „jak wielką stratę poniosłem?“

I rzeczywiście poniósł wielką stratę. Utrata małego Abbé'go była dla Ludwika powodem utraty więcej jak jednej prowincyi, więcej jak jednej bitwy i pół wieku sławy. Mając tego jednego człowieka, byłby może umarł panem Europy; a musiał tego dożyć, że prawnuk Mazariniego przebił swoją szpadą serce Francyi, i że mały Abbé przemieniony w sławnego Eugeniusza sabaudzkiego, przedarł się na czele zwycięzkiego wojska aż pod bramy jego stolicy.

5.

Maria Mancini należała do rzędu tych siostrzenic Mazariniego, które stary kardynał dopiero wtenczas z Włoch sprowadził, gdy.. inne za mąż powydawawszy, zatęsknił za młodem towarzystwem. Sprowadził ją z klasztoru i... ośmnastoletnią panienkę rzucił w wartkie nurty Luwru. Marya nie była pięknością; lecz z jej oczu tryskał niewypowiedziany wyraz, a gdy młody Ludwik XIV, który, nawiasowo powiedziawszy, miał zwyczaj czy słabość zakochywać się w każdej kobiecie, zapłonął do niej miłością — robiła z wpływów, jakie miała, najszlachetniejszy użytek. Nietylko, że go pielęgnowała z wielką troskliwością w niebezpiecznej chorobie — ale uczyła go także po włosku; czytała mu na głos książki — wznieciła w nim chęć sławy wojennej — i jej tylko ma podziękować, że był czemś lepszem jak prostym niewieściuchem, a którego, w osobie jego syna, Francya ujrzała. Ludwik podziwiał i inne siostrzenice Mazariniego; ale Marya przywiązała go do siebie i całkiem podbiła. Lecz króla matka rozłączyła kochającą się parę, a gdy król rozpłakał się przy pożegnaniu, rzekła Marya do niego słowa, które Racine unieśmiertelnił w swojej „Berenice:“ „*Vous m'aimez, vous êtes Roi, vous pleurez, et je pars.*“

Ludwik XIVty ożenił się z hiszpańską księżniczką, która mu w posagu wniosła traktat pokoju. Po ślubie Ludwika, Marya zjawiła się znowu na dworze, lecz król robił jej tak nadzwyczajne i w oczy bijące grzeczności, że kardynał, zapewne, aby siostrzenicę od wstydu ochronić, wydał ją za mąż za marszałka Colonnę, któremu musiała do Rzymu towarzyszyć. Colonna był dziki i ekscentryczny; lecz pomimo tego Marya nie miała powodu skarżyć się na niego, aż dopiero, gdy porodziwszy mu trzech synów przemieniła swój dom w klasztór i żyła w nim jak Diana — lecz otoczona tuzinem Endymionów. Colonna zamknął swoją żonę i obchodził się z nią tak srogo, że Marya musiała uciec z więzienia wraz ze swoją siostrą, która do niej w odwiedziny... przyjechała i udać się do Paryża.— Być może, że Marya miała nadzieję u dawnego kochanka względy pozyskać; lecz zabroniono jej przystępu do króla; a jej niezmordowany i srogi małżonek gonił za nią od klasztoru do klasztoru przez Francyę, Włochy i Hiszpanię. Jej smutny los wyjaśni najlepiej ta okoliczność, że z ostatnich lat jej życia nie mamy najmniejszej wiadomości. Nikt nie wie, czy Marya Mancini umarła jako zakonnica pod przybranem nazwiskiem, czy też spoczęła w grobie, wykopanym rękami mściwego Colonny?

(Dok. nast.)

TRZY GODZIN,

NOCNE WIDZENIE;

przez Józefa Dzierzkowskiego.

III.

Mgliste obrazy.

(Ciąg dalszy.)

— Rodzice Kazimierza wiedzą o tobie, mówił kapitan ze smutkiem dalej, ale nie od niego; wiedzą od złych ludzi, którzy sami zepsuci i występni, wszystkich mierzą po sobie, i pełni żółci i nienawiści w oplwaniu i potwarzaniu drugich jedyną czują rozkosz.

— O mój Boże!.. cóż ja zawiniłam?..

— Że sama mieszkasz w wieku tak młodym, żadnych nie masz z nikim stosunków, i dnie prawie

całe przepędzasz z Kazimierzem!.. obmowom ich daje pozór prawdy...

— I rodzice Kazimierza na pierwsze słowo niepoczciwe uwierzyli, nie starając się nawet przekonać...

— Moje dziecko!.. Ty jeszcze nie znasz przesądów ludzkiego spółeczeństwa, opartych na rozmaitej pozornej konweniencyi. Dla ludzi należących do pewnego towarzystwa mieniącego się wyższem, artystka już dla tego, że jest artystką, i jako taka wyłamuje się z drobnych form zwyczajnych, jest w ich rozumieniu coś tak niższego w hierarchii spółecznej i w wartości moralnej, iż wszelkie do niej przyjaźniejsze zbliżenie się ubliżającem być mienią.

— A to jest okropne!..

— I bardzo okropne!.. w ostatecznym rezultacie u takich ludzi wartość człowieka mierzy się na miarę jego kieszeni. Głupiec który kupuje, jest wedle nich wyższym daleko od artysty, który przedaje prace swego talentu lub jeniuszu. Dla nich artysta na równi stoi z rzemieślnikiem; a rzemieślnik bez którego przecie obejść się nie mogą, niżej pieska faworyta, któremu się wolno przewalać po najdroższych sprzętach. „Kupiłem obraz, kupiłem bilet do teatru“ mówi tak samo, jakby powiedział: „kupiłem buty lub tużurek!“ „Ja go płacę!“ doda pogardliwie, i rzecz cała już skończona wedle niego, już oceniona. Stokroć smutniejsze jest położenie artysty — kobiety!.. Artystka wedle tych próżniaków bezpożytecznych, nie może mieć serca, ni uczuć, ni cnoty!. „Artystki!.. fi donc!“ rzeknie pogardliwie salonowa kokietka, której odbierz pozłotkę spółeczną, a zdybiesz kał uliczny, błoto rynsztoku!.. Lecz dosyć tego!.. nie chcę panno Madelino kalać dłużej duszy twej obrazami brudnemi!. Nie dziw się zatem, że rodzice Kazia uwierzyli we wszystko złe, co im o tobie nabajano...

— I Kazio nic im nie powiedział?·.

— Nic nie powiedział!.. Oni jemu pierwsi powiedzieli nie pytając go o ciebie, i zarzucając mu ten stosunek!..

— I Kazio nie stanął w mojej obronie?..

— Nie stanął!.. na słowa rodziców... zamilkł, spuścił oczy, kiwnął ręką i wyszedł..

— O mój Boże!. zawołała Madelina boleśnie, i załamała rozpaczliwie ręce!.. Ależ on mnie kocha!.. bardzo kocha!... ja to czuję... tu! tu! i wierzę mu!.

— Kocha cię moje dziecię, ale kocha miłością samolubną!.. on w tobie kocha siebie!.. on żąda od ciebie poświęceń!.. ale sam tobie żadnego nie przyniesie...

Madelina oczy zakryła, i nie odpowiedziała ani słowa.

— Lecz ja teraz przyjechałem i już nie wyjadę!.. ja się w to wdam!.. nie trać nadziei!.. nie rozpaczaj panno Madelino!.. błagam cię o to, bo twój stary przyjaciel nie może patrzeć na łzy twoje i rozpacz twoją..

— Odejdź teraz kapitanie kochany!.. ja chcę sama zostać z myślami memi!.. szepnęła Madelina nie podnosząc głowy.

Kapitan wyszedł po cichu.

Madelina żywo przypomniała sobie owe kilka chwil rozpaczy. Chciała się uśmiechnąć do nowych scen, co się jęły przesuwać w mglistym pomroku, ale nagle zadrżała, spojrzała na umierającego, i na twarz jej wystąpił wyraz gorzkiego wyrzutu sumienia..

— Jam mu nie wierzyła; jam go zdradziła!..

I z gwałtownym pośpiechem który drgał na jej twarzy, przebiegała dalsze sceny przeszłości.

Kazio pojawił się jeszcze piękniejszy, jeszcze czulszy niż dawniej, i nie dał jej prawie przyjść do słowa, i wymawiać zarzuty z jakiemi go czekała. Za pierwszem jego słowem, pierwszym uśmiechem, wszystkie wątpliwości pierzchły jak mgły przed słońcem.

— Ty Kaziowi nie ufasz!.. rzekł tak słodko, tak czule, a rzucił na nią wzrokiem tak płomienistym.

Cóż innego mogła uczynić Madelinka, jak uwierzyć mu i przeprosić jeszcze:

— Wierzę ci Kaziu!.. wierzę!.. powtarzała i słowy, i łzami, i uśmiechem.

— Daj mi dowód!..

— Co każesz Kaziu?..

I przy jej nogach usiadłszy... ach jak on był piękny w tej chwili!.. i anieli na niebie piękniejszemi być nie mogą!.. długo, bardzo długo szeptał... Dziś po latach tylu, po łzach tylu, siedzącej przy łożu boleści zdaje się, że jej jeszcze te same przy uszach śpiewają słowa, i drżą w sercu cudownemi tony.

Słuchając Kazia, Madeliny twarz wyrazy zmieniała, jakby fale na wodzie, na pół słońcem zachodzącem rumiane, na pół osrebrzone bladem księżyca wschodzącego światłem. Był tam na niej i przestrach, i wstyd, i zdziwione przerażenie, i rezygnacya miłości!. A co w sercu było?.. Dziś jeszcze musi cisnąć piersi, by to serce nie wyskoczyło drgające.

A szepcąc po cichu, Kazio miał w nią oczy wlepione i trzymał ją za rękę. Dwoma prądami elektrycznemi bił w jej serce i w jej głowę. Odurzona schyliła głowę i wszystkiemu uwierzyła, temu nawet uwierzyła, że kapitana strzedz się trzeba.

— On nas chce rozdzielić na zawsze!..

— On?.. zapytała z pół powątpiewaniem, ale za to z całą wiarą przycisnęła się do ramion kochanka.

I długo jeszcze szeptali. Z jej pamięci wszystkie słowa kapitana wionęły, jak słowa na piasku pisane, co je wiatr uniesie.

W tej chwili swych rozpamiętywań, Madelina jeszcze silniej pierś ręką przycisnęła, i nie śmiała spojrzeć na leżącego kapitana, a z jej ust wyleciały słowa:

— Prędzej!.. prędzej!..

Ona mówiła do pamiątek swoich, by chyżej mglistemi mknęły obrazkami.

Nazajutrz nie było już Madeliny w pomieszkaniu

dawnem, a w opuszczonej pracowni stał kapitan z wyrazem głębokiej boleści na twarzy, a w skurczonych palcach drżał mu list rozwinięty. Bezmyślnie patrzał na ścianę, a ze ścian urągając wyszczerzały mu się twarze posągów i medalionów martwe, nieme i białe. Milczały w pustej pracowni tak okropnie, jakby trupy!.. ciała bez duszy co z nich uleciała... Kapitan ciężkim jękiem westchnął za tą duszą... i po raz dziesiąty czytał list trzymany w ręku. Był krótki, ale bardzo wyraźny.

„Kazio mnie kocha!.. i ja go kocham!.. i wierzę mu całem sercem. Muszę się oddalić, aby uniknąć prześladowań, których się spodziewam teraz.. z stron rozmaitych!.. Kto mnie dobrze życzy i dba o moję przyjaźń, ten mnie szukać nie będzie!.. ja nie chcę być znalezioną!.. a dzieckiem już przecie nie jestem!. A jeżeliby mimo to szukał mnie i znalazł... znajdzie rzeźbiarkę Madelinę, ale nie znajdzie jej serca i przyjaźni!.. Kapitanie!.. Madelina cię błaga!.. nie szukaj jej!.. Przyjdzie chwila, w której ona sama poszuka swego najlepszego i najdawniejszego przyjaciela!..

Kapitan raz jeszcze westchnął, obejrzał się długo, aż łzy się polały po męzkiej twarzy, i wyszedł z pustej pracowni.

A Madelina?.. Madelina siedzi w tej chwili przy łożu boleści, i ręce przycisnęła do oczów tak mocno, jakby już się dalej nie chciała przypatrywać mglistym obrazkom!. Lecz czyli i serce oślepło? i pamięć zaniemiała?..

O nie!.. i serce i oczy widzą, i pamięć mówi, i mgliste mkną obrazki, ale tak szybko, że widzi tylko główne zarysy, a szczegóły drobne nikną, jak nikną przed goniącym naprzód wozem parowym drobne rysy krajobrazowe.

I siedzi sama w skromnym ale schludnym pokoiku; siedzi cała zapłoniona szczęściem i uczuciem, bo przy niej ukochany Kazio, a każde jego słowo, to jakby talizman zaczarowany, który jej stwarza świat nowy cudów i uroku!..

Wiele dni... tygodni.. miesięcy to trwało?.. czyliż może spamiętać Madelina po latach tylu?..

I siedzi znowu w skromnym ale i mniej już schludnym pokoiku—bo znać w nim pewne zaniedbanie—siedzi samotna!.. całe jej życie w oczach i uchu!.. ona czeka!.. czeka myślą!.. czeka sercem!.. Ach ona czeka życiem całem drgającem, tak gwałtownie i gorączkowo w krwi rozburzonej!..

Jak długo czekała?.. czyliż może spamiętać... Po bolesnem tylko biciu serca czuje, że to było długo, bardzo długo!.. I jak błyskawice przez niebo czarnemi chmurami zciemnione, przemknęły jeszcze chwile złote!.. To Kazia oczy zabłysły przy niej... to jego słowa zadrżały przy niej!.. ale czemuż tak krótko?.

I siedzi znowu w skromnym pokoiku, ale tak już okropnie zaniedbanym, że się w nim odbija nietylko rozpacz jej mieszkanki, ale i niedostatek wyszczerza zewsząd. Siedzi... sama!.. ach jak bardzo sama!.. Jak długo?.. nie pamięta zapewne!.. ale te chwile okropne, to jakby krople ołowiu zwolna kapiące na zbolałe ciało...

Ile tam dni czy tygodni minęło?.. ona już nie pamięta!.. ale czeka i czeka!.. i...

Jakby galwanicznym ruchem dotknięta zadrgała Madelina przy umierającym siedząca!.. A z tej mgły fantastycznej, co się tam przed nią w obrazki układa wyszczerzały się jakby one złowieszcze zgłoski Baltazarowe—okropne słowa jej myśli najtajemniejszej:

— Darmo oczekiwany nie powrócił!..

I zrobiło się w koło Madeliny tak ciemno i głucho, jakby w bezgranicznej pustyni wieczną nocą była otoczona. Życia w koło niej nie było wcale; a w niej samej jak bałwany morskie o ląd ustępujący biły w piersi zbolałe, fale rozpaczy!..

List pojawił się nagle w mglistem przeźroczu!. to list od niego!.. martwy, zimny list!.. kiedy ona go czeka!.. Co pomogą zawarte w nim czułe słowa!..

Słowa te zdają się urągać gorącej rozpaczy!.. Bo jak wąż zjadliwy pomiędzy kwiaty, przesuwa się pomiędzy słowa i przysięgi czułości, wyrok okropny!..

„Rodzice każą!.. muszę być im powolnym!.. odjeżdżam!.. na jak długo, nie wiem.. Bądź cierpliwą!. Ja cię kocham!.. i kochać nie przestanę!..

— Bądź cierpliwą!.. nie jestże to istne szyderstwo? Umierającemu z głodu i pragnienia radzić cierpliwość!.

Co wtenczas przecierpiała Madelina, tego nie dostrzeże w mglistym obrazku!. to spoczywa zamknięte w jej sercu, jakby w grobie!..

Ciszę otaczającą łoże boleści, na którem spoczywał umierający kapitan, przerwał głośny jęk boleści, co się wyrwał z piersi biednej Madeliny, w tej chwili smutnego rozpamiętywania. Jęk ten był tak głośny i przeraźliwy, że aż zadrżał chory w swem uśpieniu!.. może usłyszał!.. a może tylko uczuł sympatycznie!.. Madelina przestraszona gwałtownym ruchem umierającego, zwróciła całą swą uwagę na niego, i uspokoiła się dopiero, widząc jak chory pomału wpadał nazad w to ciche od dwóch godzin trwające już uśpienie.

I sama się przez to uspokoiła, i pomału przeciągały dalej przed nią mgliste obrazy.

Widziała jeszcze ten list przed sobą, i widziała siebie samą, jak po swym małym pokoiku biegała, jakby biedny ptaszek w klatce!.. I jak ptaszek w klatce, co szuka pomiędzy szczeble, by uleciéć z więzienia, ona szukała także wolności!.. ona biegając po pustym pokoiku, myślała, jakby uleciéć z więzienia!.. A więzieniem w tej chwili nie sam był pokój, ale całe jej życie wszelkiego już na zawsze pozbawione powabu!.. Rozpacz była jej doradczynią!.. Myśl jak piłka odbijała się od ostrego dłuta, które trzymała w ściśniętej dłoni do okna trzeciopiętrowego, z któ-

rego wyszczerzała się jej przepaść uliczna, twardemi kusząca ją kamieńmi.

Bóg się zlitował nad biedną szaloną!.. kapitan zastąpił jej okno, i z drżącej ręki wyrwał ostre dłuto!. Madelina padła, zemdlała...

Jakby sny gorączkowe przypominała sobie długie chwile słabości, podwójnej słabości ciała, i słabości duszy!... Z rodzicielską czułością czuwał nad nią stroskany kapitan. Był dla niej prawdziwym aniołem, pocieszycielem!. i on ją wyratował!..

Nie usłyszała z ust jego ani słowa wymówki, ale płakał z nią razem... i pomału rozdmuchiwał iskrę życia gasnącą pod brzemieniem rozpaczy.

I słówka nawet przykrego nie powiedział na Kazia!.. przeciwnie starał się go wytłumaczyć, o tyle przynajmniej, że nie odbierał jej nadziei powrotu kochanka!.. Jak z dzieckiem zepsutem obchodził się z biedną dziewczyną!..

— Ja go kocham!.. kocham!.. powtarzała Madelina upornie, jak małe dziecko, co krzyczy i dopomina się złamanego cacka!..

— Bądź spokojna!.. odpowiadał kapitan; on powróci!..

— Powróci?.. zaręczasz za niego!..

— Jeżeli cię kocha prawdziwie, czyliż mógłby nie powrócić?..

— On mi przysięgał!.. w pół cicho wyrzekła Madelina i w głęboką wpadła zadumę.

Pomału przyszła do siebie, bo, czego człowiek, stworzony do samych boleści, do samych odczarowań od kolebki aż do trumny!.. czego nie wytrzyma?...

Coraz rzadziej mówiła o Kaziu, który i nie wracał, i nie pisał. Dowiedziała się tylko od kapitana, że rodzice wyprawili go za granicę, dla kształcenia się w naukach...

Czasem jeszcze ozwała się gwałtowniej do kapitana, gdy ją ten z całą cierpliwością silnego przywiązania leczył serdecznemi słowy...

— Kochany kapitanie!.. ty tego nie rozumiesz!.. tyś już stary!. ty nie możesz rozumieć miłości!..

Kapitan nic nie odpowiadał... głowę spuścił, by go wyraz twarzy nie zdradził!.. piersi ścisnął gwałtownie by nie zajękły!..

— Ty cierpisz kapitanie?..

— Tak ci się tylko wydaje panno Madelino!.. odpowiadał głosem przytłumionym, by się wydał spokojniejszym.

Madelina straciła na czas długi, jeżeli nie na zawsze dawną swą pustą wesołość. Całą jej pociechą było, że wzięła się nazad do pracy!.. Bo już od dawna wróciła do dawnego pomieszkania i dawnej pracowni, które kapitan urządził najstaranniej. I pomału otoczył ją nietylko wygodami życia, ale i podniósł ją moralnie, otaczając szacunkiem osób, które do niej przychodziły..

I zaszła nowa zmiana w jej życiu codziennem... nowy obrazek przemknął przed jej oczyma....

(C. d. n.)

DWÓR SENATORSKI

przy końcu XVIIIgo wieku.

(Wyimek z Ramot starego Detiuka, drukowanych w Wilnie 1861. — Zobacz Nr. 8.)

(Ciąg dalszy.)

Bił się mężnie młodzieniec, zasłużył rangę porucznika i pod Maciejowicami dostał się w niewolę. Odartego przez Kozaków z munduru i przyodzianego.. w stary kozacki długi i szeroki ubiór, pędzono wraz z innymi jeńcami do Lublina. Pędzący jeńców Dońce znęcali się nad biednym młodzieńcem, a... naśmiewając się z postaci niedźwiedziej w okropnym tym stroju, tańcować mu z sobą kazali. Wywijał się kozaka z Dońcami pierwszy uczeń Skórczyńskiego, łzy lały się po twarzy, serce mu się z boleści krajało, a—nogi skakać musiały. Nie uszedł uwagi oficera prowadzącego oddział, taniec wojewodzica, i z większą odtąd dla niego był delikatnością. W Lublinie stawiono jeńców przed jenerałem Ferzenem. Na szczęście wojewodzica przy Ferzenie adjutantem był Gruszecki, który... po zniszczeniu wojsk naszych na Ukrainie . przeszedł w służbę rosyjską. Poznał on młodzieńca, bo dawniej nieraz w domu wojewody... miłego doznał przyjęcia—wyrobił mu więc pierwszeństwo przedstawienia. Biedny szesnastoletni Heruś, małego wzrostu, dziwnie wyglądał w ogromnym stroju kozackim, do tego.. z natury zajakliwy, w przelęknieniu ledwie kilka słów wyjąkać potrafił.

„Kto ciebie oddał do wojska?“ zapytał Ferzen.— „Ja sam.“— „Dla czego?“ — „Ażebym bronił mojej Ojczyzny.“— Zamilkł jenerał; po chwili znowu zapytał:—Cóż mam z tobą zrobić?—„Do papy odesłać.“ „Gdzie mieszka twój papa?“— „Na Wołyniu.“— „Jakiż będzie okup za ciebie?“ — „Papa da jenerałowi tysiąc złotych.“ —„Nie drogi z ciebie towar, ale cóż ty umiesz?“—„Nic.“— „Umie pięknie tańcować,“— ozwie się oficer prowadzący oddział.— „A więc tańcuj!“ — rzekł jenerał, i muzyka huczno zabrzmiała kozaka, a biedny Heruś z płaczem puścił się w uczone skoki. Lekkość i zwinność młodzieńca, choć w tak ciężkim stroju, wybór kroków, któremi w pośród uczniów sławnego tancmistrza celował, podziwienie, oklaski, zadowolenie i życzliwość jenerała, tańcującemu zjednały. Gdy skończył, Ferzen własną chustką łzy i pot jego otarłszy, ucałował go i obok siebie u obiadu posadził. Po obiedzie kazał mu przebrać się w mundur właściwy, ale wojewodzic prosił, żeby mu kozackiego nie odbierano, bo ten świadczył o je-

go bytności w działaniu—o jego niewoli i oswobodzeniu. Nazajutrz Ferzen odprawił Hieronima do Tuczyna z Gruszeckim na kuryerskich koniach i do p. wojewody list, pełen grzeczności, napisał. Wszystko to tak prędko się stało, że, gdy wojewodzic do domu wrócił, p. wojewoda o smutnych wypadkach Maciejowickiej bitwy jeszcze nie wiedział.

Otworzył szanowny starzec ramiona na witający uścisk syna; ale, gdy ten wyjąknął: „p. naczelnik wzięty," — ojciec odtrącił go od siebie: „I tyż śmiałeś wracać pod ojcowską strzechę? Twoje miejsce było na pobojowisku, w mogile. Możebym łzę jaką uronił, aleby mi ta została pociecha, żeś poległ w dobrej sprawie." — Gruszecki pospieszył z rozpowiedzeniem szczegółowem wszystkich okoliczności wzięcia Kościuszki i męstwa Hieronima. Uspokojony tem p. wojewoda..o syna, poddał się całej goryczy żalu i boleści po stracie ostatniej nadziei. Po tej wieści... wiadomości były jedne od drugich coraz smutniejsze. Wzięcie Pragi, kapitulacya Warszawy, nakoniec zupełny wyjazd króla do Grodna... ubiły na duchu i mieszkańców Wołynia.

Tutulmin zesłanym był dla odebrania wdztwa wołyńskiego na imie imperatorowej Katarzyny. Wychodzono naprzeciw niego z chlebem i solą, bito we dzwony po kościołach i cerkwiach. Jenerał zapewniał mieszkańcom imieniem swej monarchini ich wiarę, język, prawa i swobody. Słuchał naród ze łzami słów Tutulmina, i jakaś otucha zdawała się łzy boleści osuszać. Kapłani wznosili po kościołach hymn dziękczynny. Na Podolu...jakiś niemieckiego nazwiska jenerał spełniał ten obowiązek, ale dumny... zimny egoista, nie posiadał uczuć szlachetnych jenerała i obywatela Rosyanina.

W tymże samym roku pamiętne w naturze mieliśmy zjawisko. Było to od nikogo nieprzepowiedziane całkowite zaćmienie słońca. We Francyi rewolucya wstrząsła narodem i sparaliżowała nauki. Niemcy niedość widno zapuszczali się w te głębokie badania natury. Akademia krakowska rozpierzchła się po świecie, a w Wilnie jedyny obserwator ks. Poczobut był u wód w Baden. Szwecya tylko (może i Anglia) zapowiadała to zjawisko; ale wiadomość ta, ani do nas, ani, ile mi wiadomo do Petersburga, nie doszła. Byłem wtedy w Korcu na naukach z Mezerami, synami Franciszka przy Skoczkowskim. D. 11 czerwca, bo ten dzień zanotował nasz nauczyciel, w najpogodniejszy dzień, o 2iej z południa zaczęło się zciemniać na dworze, choć żadnej chmury nie było. Skoczkowski wyszedł z pokoju i, po chwili wróciwszy, okopcił kawałeczek szkła nad świecą i znowu wyszedł, a my za nim. Więcej się jeszcze zciemniało nie nocnym zmierzchem, bo odbicie światła było żółte i przykre dla oczu. Jak długo trwał ten przechód, tego oznaczyć nie potrafię, ale pomnę dokładnie, jak raptem znikło słońce i gwiazdy się pokazały. Ta chwila nocy wśród dnia, ta ciemność nie nocna, trwogą napełniły ludzi i zwierzęta. Nikt nie śmiał w domu pozostać, wszystkie drzwi raptem się otwarły, fabrykanci hurmem runęli od swoich warstatów. Jęk i płacz ze wszech stron się rozlegały wśród pospólstwa, padali z krzykiem twarzą do ziemi, a ten krzyk rozpaczy zdawał się wzbijać do nieba i z groźbą dopominać zwrócenia swojego światła. Bydło z rykiem uciekało z pola, ptactwo mieszało się w powietrzu, psy wyły. A wśród ciemności powietrze było parne, i zdawało się, że go do oddychania zamało było. Oświeceńsi, jak nasz Skoczkowski, tłumaczyli sobie to zjawisko, że księżyc przechodząc między słońcem a ziemią, zakrywa całą lub cząstkowie tę gwiazdę dziennego światła; ale w pośród tych pięknych fizycznych tłumaczeń, nie byli spokojni. My tylko dzieci nie czuliśmy żadnego wrażenia, ani bojaźni, chwilowe tylko było nasze zadziwienie, gdyśmy ujrzeli gwiazdy, a słońca nie było ani znaku. Jak stopniowo rozjaśniało się, jak długo to rozjaśnianie trwało—niepomnę; to dobrze pamiętam, że Skoczkowski dawał nam patrzeć przez okopcone szkiełka na słońce, jak się z pod czarnego kręgu zwolna dobywało — zdaje się jednak, że cały proces tego zjawiska musiał trwać więcej kwadransa. Skoro błysnęło słońce, choć dopiero jeszcze w połowie, radość wszystkich ogarnęła, winszowali jedni drugim powrotu dnia, ciesząc się ujrzeniem dziennego światła, wielu jednak z prostoty nie ufali, i bojąc się, ażeby z zachodem nie zniknęło na zawsze, niespiąc, czekali jego wschodu. Chwilowe zaćmienie słońca smutne na umysłach sprawiło wrażenie; jakże musi być smutno przez pół roku nie widzieć słońca w krajach polarnych!

Nazajutrz rano schwyciło się słońce i zaraz silnie grzać zaczęło; ani najmniejszy wietrzyk powietrza nie ochładzał, a około dziewiątej godziny nasunęły się czarno-czerwone chmury coraz cięższe i cięższe. Huk odległego gromu, bezustannie zewszad się rozlegał, ciągła błyskawica raziła oczy i blaskiem swoim słabe dnia światło ćmiła. Około południa zerwał się silny wicher, a w pośród szumu i świstu wichru i gęstych piorunów, ulewny deszcz głuchym szmerem jeszcze więcej okropności temu wzburzeniu natury dodawał. Nurty Kurczyna wzniesioną falą niepodobne do przeniesienia głazy, jedne za drugiemi toczyły. Wezbrane ulewą rzeki i strumienie szeroko swe wody rozlały. Okropne to i wspaniałe było widowisko! widowisko wzbudzające religijną trwogę, nawet w sercach niedowiarków, których niestety! już tak wielu wówczas u nas rewolucya francuzka natworzyła.— Około drugiej z południa burza ucichła, uspokoiło się powietrze, wody do swego koryta wracać poczęły. Pokazało się słońce, i wieczór był tak pięknie pogodny, jak po dniu najpogodniejszym. Tysiące przepowiedni—jedne od drugich smutniejsze— rozchodziły się z tej okoliczności między pospólstwem. Jakoż i smutne następstwa, je-

dno po drugich boleśnie raniły serca biednych naszych rodaków. Gdzieniegdzie jeszcze trzymały się wojska nasze. Wawrzecki objąwszy naczelnictwo po Kościuszce, opierał się jak mógł, ale obecność Kościuszki nie ożywiała już upadłego w żołnierstwie ducha! Jasiński z całem męztwem i poświęceniem się walcząc, czyny swe świetne życiem na Pradze zapieczętował. Był to wuj mego ojca, brat o wiele lat młodszy ukochanej babki mojej, która ledwie go dwoma tygodniami przeżyła. Król z Grodna do Warszawy nie wrócił.

Po ostatnim rozbiorze, kazano mającym majątki w dwóch państwach, zamieszkać stale tu, lub wyprzedawszy się w rosyjskim zaborze, przenieść się do dóbr, do Prus lub Austryi odpadłych. Wołyń szczególniej wówczas zaludnił się obywatelami, bo swobody zapewnione przez imperatorowę, zniewoliły wielu i bardzo wielu, którzy piastując urzędy znakomite w Koronie, po stracie kraju opuściwszy stolicę i majątki pod pruskim lub austryackim rządem będące, w ziemiach swoich na Wołyniu spokojnie osiedli. Rok cały najsmutniej upłynął. W naszej rodzinie była żałoba po dwóch matkach, po babce mojej. Wszyscy obywatele cicho siedzieli po domach swoich, zaledwie pomiędzy najbliższymi sąsiadami były jakieś stosunki. I pan wojewoda podobnie ograniczył się swoją tylko rodziną i oddał się całkiem urządzeniu swoich interesów, a dla zaszłych różnych w ekonomice majątku okoliczności, zarząd dóbr swoich ojcu mojemu wręczył; matkę zaś po powrocie do kraju Abessy francuskiej, ochmistrzynią swych córek postanowił. Nie umiała matka moja po francusku, potrafiła jednak i wojewodzianki do siebie przywiązać i na p. wojewody szacunek i ufność zupełną zasłużyć.

W domu p. wojewody i polor wieku XVIII widać było i starodawne obyczaje zachowano. Przy córkach jego dla towarzystwa ich—bawiły córki obywatelskie, a te się rezydentkami zwały; a choć to nie były z biednej szlachty, każda z nich jednak na potrzeby swoje po 50 czer. zł. rocznie pobierała. I nic dziwnego: każda z nich miała wydatki na potrzebne co dzień uczciwe pokazanie się, a p. wojewoda nie chciał, ażeby poświęcając się kompanii jego córek, rodzicom swoim ciężarem były. Uboższe panienki szlacheckie służyły— a każda wojewodzianka prócz garderobianych, miała i pannę służącą, która i do stołu pańskiego siadała i na pokojach z paniami bawiła. Przy wojewodzicach zbierali się młodzi pokrewni ich, bliscy i dalecy i obywatelscy inni synowie. Ci nie byli pensyonowani, ale prezenta imieninowe i kolenda za pensyę wystarczały. Towarzystwo więc Tuczyńskie było liczne. Nieznacznie, powoli, zaczęto oswajać się z obecnem położeniem; młodzież potrzebowała rozrywek, i do tego sam wiek ją usposabiał, wracała więc i wesołość i zabawy się zjawiały. Żaden dom na Wołyniu nie był zebraniem tylu młodzieży płci obojej pięknie wychowanych co dom p. wojewody, ani się równie nie odznaczał wesołością. Senator sam chciał tego, ażeby dzieci się jego rozweselały, zawsze miał twarz wypogodzoną i uśmiech dobroci na twarzy; a jeśli czasem troska jakaś na sercu osiadła, lub też poniesionych strat wspomnienie łzę wycisnęło— tego smutku ojciec mój był tylko świadkiem.

W Tuczynie i w jego okolicy rozłożony był na konsystencyę pułk kimburnski dragonów, szefem jego był brygadyer Karol Baur znacznej kurlandzkiej familii: pięknem wychowaniem, układnością światową i dziwnie miłemi przymiotami serca celował między współkolegami. W Tuczynie stał sztab jego, a latem obóz pod Szubkowem, wsią do majętności Tuczyńskiej należącą. W niedługim czasie zbliżył się z domem wojewody. Niewiele od wojewodziców starszy, prędko zaprzyjaźnił się z nimi i wszystkie zatrudnienia ich i zabawy podzielał. P. wojewodę jak ojca kochał, szanował i wolę jego miał sobie za świętą. Całe dnie i wieczory w pałacu przepędzał, i tak był z całą rodziną spoufalony, że go nawet nieznajomi za krewnego p. wojewody brali. Majętność Tuczyńska nie czuła ciężaru, jaki kwaterunek wojska przynosić może, bo wszystkie produkta, bądź na potrzeby ludzi, bądź na karm koni brane, płacone były brzęczącą monetą i po dobrej cenie; a za niewielką opłatę miał p. wojewoda żeńców, robotników w ogrodzie, cieslów i jakich zażądał rzemieślników. Z taką też pomocą w jednym roku stanęły na nowo ogromne młyny na Horyniu, kilka porządnych dworków w mieście i różne potrzebne budowle po folwarkach, a nawet nowy niewielki teatr w ogrodzie. P. wojewoda bardzo się przywiązał do Baura, a mimo jego namiętności bałamucenia dam, szacował go wysoce. Przeznaczenie jakieś przywiązało go do Tuczyna, i nieraz jeszcze w dziejach Tuczyńskiego domu, napotykać go będziemy.

(*Dok. nast.*)

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Po wielu trudnościach towarzystwo Krakowskie pozornie pod nominalną firmą p. Pfeifra, ale w rzeczy samej pod wspólnym zarządem i na dział, rozpoczęło kurs letni. Wyłączyło się tylko kilku członków, którym się zachciało występować gdzieś tam po miasteczkach szlązkich i morawskich, pod dyrekcyą i w towarzystwie niemieckiem. Tu się bez nich obejdzie, a czy tam im wiele róż zakwitnie?. wątpimy. Dawaliśmy przez cały kurs zimowy częste spawozdania, chcąc

raz przynajmniej zwrócić szczególniejszą uwagę na nasz teatr narodowy, którym się tak mało zajmuje dziennikarstwo nasze, i nadać recenzyi teatralnej pewną całość, wyczerpnąć niejako co się dało wypowiedzieć o repertuarze i talentach naszej sceny. I w kursie letnim dawać będziemy dalej sprawozdania nasze, ale o tyle tylko, o ileby się w repertuarze pojawiła nowa sztuka jaka, lub gra artysty którego na szczególne uwzględnienie zasługiwała.

Obojętnemi zupełnie dla sceny naszej być nie możemy, chociaż jakiś zaimprowizowany recenzent pan Mi...... w Nrze 58 Dziennika liter. niestósownemi uważa recenzye teatralne w piśmie niewiastom poświęconem. Dla czego? nie raczy się tłumaczyć!.. Jest to zdaniem naszem, uchybienie niewiastom, jak gdyby sztuka nie należała do ich zakresu. Recenzent gastronom może, dzieli zapewne zdanie germańskie, że niewiasty są tylko stworzone do kuchni, do robienia sztrudlów smacznych itd. Nie podobały mu się w ogóle nasze recenzye, i w tej mierze chcąc zapewne coś dowcipnego powiedzieć, wyrzekł, że recenzent zamiast recenzyi pisze powieści. Gdzie on się tam powieści domacał, czy w uwagach o teatrze w ogóle, czy w rozbiorze sztuk, czy w recenzyi gry? tego nam także nie raczył wypowiedzieć. Miał to być wedle zdania p. Mi....— jak się zdaje— sprytny przycinek osobisty!. Mniemamy, że to w końcu na jedno wychodzi, czy piszący recenzye, pisuje powieści, czy liche wiersze, byle jego recenzye miały jakąkolwiek podstawę estetyczną. Na wzór zapewne jak się mają pisać recenzye, pan Mi.... rozpisał się nad przedstawieniem *Karpackich Górali*. Dostało się tam i autorowi i pani *Krajewskiej*, grającej matkę Antosia, przyczem wiele ważnych zrobił uwag nad wymaganiami dramatycznemi, ze strony długości mniejszej lub większej kostura, i kosztorysu łachmanów, jakie artystka miała na sobie. Nie zawadziło to wcale ani *Korzeniowskiemu*, którego to jest utwór jeden z najlepszych, ani pni *Krajewskiej*, której przyznać musi każdy znawca, że w tej właśnie roli gra nieporównanie. Dowiodło tylko, że aby pisać z sensem przynajmniej, nie dosyć jest liznąć kilka książek z przypadku, ale trzeba długo chodzić do szkoły i zdrowego rozsądku i zdrowych pojęć estetycznych o sztuce.

Na pierwsze przedstawienie grano tu w Krakowie po raz pierwszy: *Stary skrzypek*. Jest to rodzaj obrazku, mającego więcej cechę powieściową, niżeli dramatyczną. Przerobienie to niezmordowanej przerabiaczki pni Birch-Pfeifer, z jakiejś powiastki na istotnem zdarzeniu ugruntowanej, ułożone z całym przyborem niemieckiej sentymentalności, którą rutyna pni B.... ożywiła kilku scenami efektownemi. Artyści wszyscy bez wyjątku grali nadzwyczaj starannie, przez co sam obrazek znacznie się podniósł. Pna *Biedrońska* grała z tak porywającą naturalnością, że to jej przyznać musiała cała dość liczna publiczność kilkakrotnemi oklaskami i przywołaniem. Wybornie grał p. *Królikowski*, a i p. *Baranowskiemu* przyznać potrzeba, że się wcale dobrze wywiązał z zadania swego.

Dodano do tej sztuki: *Przyjaciołki Korzeniowskiego*. Pna *Germann* grała bardzo dobrze, bo naturalnie Pna *Safir* natomiast była zanadto zalotną, co nawet nie należało do jej roli, mimo, że z drugiej strony przesadzała naiwność do tego stopnia posuniętą, że gdy mówi o dzieciach swoich, kryje się wstydliwie za plecy męża. Odznaczyli się z mężczyzn pp. *Królikowski* i *Baranowski*.

O *Bileciku miłosnym*, który grano później, nie da się nic powiedzieć. Podnieść wszakże godzi się grę pny *Hofmann*, pni *Krajewskiej* i pna *Dębickiego*.

Słyszeliśmy, że pan Królikowski, który się teraz głównie zajmuje kierunkiem i prowadzeniem teatru, postarał się o nowych artystów, i przygotowuje nowe sztuki do przedstawienia. Życzymy z serca szczęścia naszym artystom, by im się teraz nie expluatowanym przez dyrektora — dobrze powodziło. Zależeć to będzie przedewszystkiem od Krakowskiej publiczności.

———

Wiadomości literackie.

———

Nakładem księgarza warszawskiego Celsa Lewickiego, wedle ogłoszeń, wyjdzie: Dziesięciogroszowa Biblioteka dla dziatek (dobrych i pilnych?), poczynających się sposobić do nauki.

Nakładem księgarni Gebethnera i Wolfa w Warszawie wyszło dzieło pod napisem: *Wieczory z Babunią*. Wyszło to dzieło za granicą — autorką jego jest Władysława z Rogozińskich Izdebska. Że w dziele jest 24 rycin chromolitografowanych, to o jego wartości nic stanowić nie może. W ogólności można powiedzieć i życzyć należy: aby wszystko, cokolwiek wychodzi *dla dziatek lub dla ludu...* było, o ile to autorom dano, wykończonem samo w sobie. Nie o mnogość pism dla dzieci i ludu; ale o ich jak największą doskonałość koniecznie idzie ludziom rozmyślnym.

Do Sanoka, jednego z najdawniejszych miast w województwie ruskiem, zawitał teatr polski pod dyrekcyą Adama Miłaszewskiego, i rozpoczął swoję czynność sztuką Kamińskiego: *Krakowiacy i Górale*. Aż po wiosnę 1863 r. nigdy jeszcze stary Sanok nie przypatrywał się scenie polskiej, aczkolwiek Ojczyzna najsłuszniej szczyci się Grzegorzem z Sanoka.

———

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny.— Nakład Redakcyi.— Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewicza w Krakowie